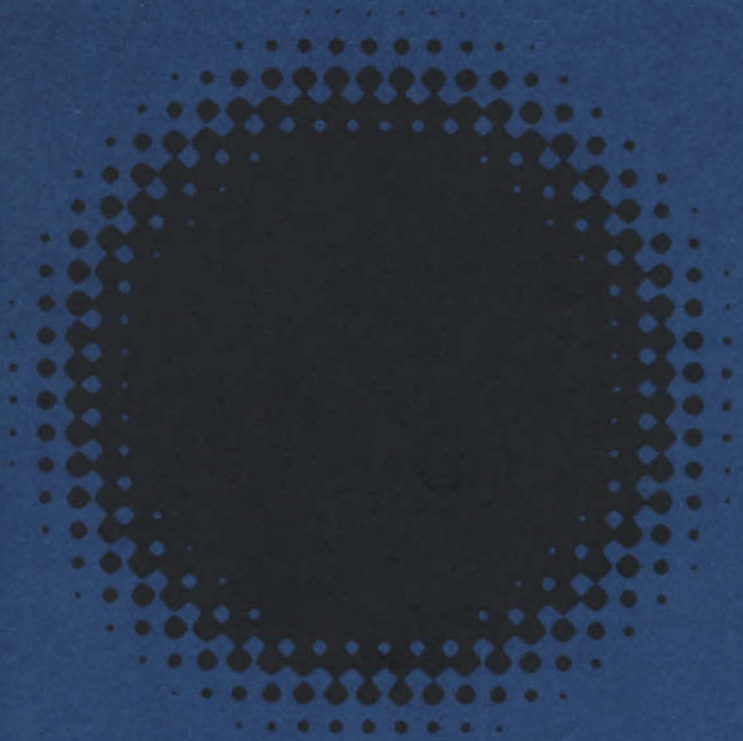

TEATR POLSKI

Wrocław

Scena kameralna

Sezon 1980/81

Dyrektor: MARIAN WAWRZYNEK
Kierownik artystyczny: JERZY GRZEGORZEWSKI
Kierownik literacki: ELŻBIETA MORAWIEC
Zastępca dyrektora: JERZY TACZALSKI

Stanisław Ignacy Witkiewicz

MATKA

OPRACOWANIE TEKSTU I REŻYSERIA:

Piotr Piaskowski

SCENOGRAFIA:

Daniel Mróz

MUZYKA:

Janusz Sent

UKŁADY PANTOMIMICZNE:

Jerzy Kozłowski

Premiera 8 listopada 1980

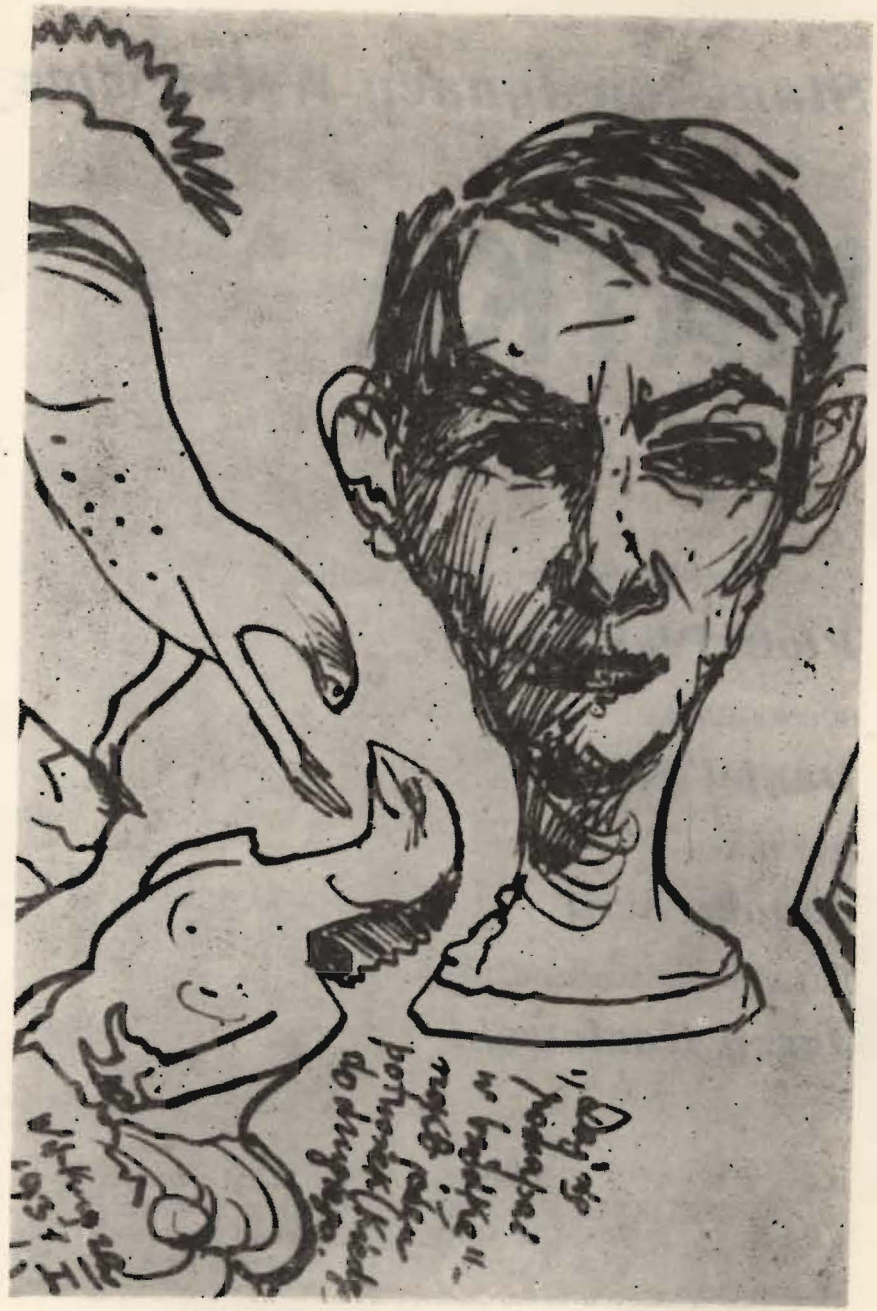

Obsada:

Janina Węgorzewska	— KRZESISŁAWA DUBIELÓWNA
Wojciech (Albert) Węgorzewski	— ROBERT KLENNER
Leon Węgorzewski	— BOGDAN KOCA
Zofia Plejtus	— BOŻENA BARANOWSKA
Józefa baronówna v. Obrock	— LUDMIŁA DĄBROWSKA-KUZIEMSKA
Joachim Cielęciewicz	— FERDYNAND MATYSIK
Apolinary Plejtus	— CEZARY KUSSYK
Antoni Murdel-Bęski	— ANDRZEJ SZOPA
Lucyna Beer	— IGA MAYR — JADWIGA ZIEMIAŃSKA
Alfred hr. de La Ttréfouille	— CEZARY HARASIMOWICZ
Wojciech de Pokorya-Pęcherzewicz	— JERZY RACINA
Dorota	— JANINA ZAKRZEWSKA

oraz Zespół muzyczny

Asystent reżysera	— CEZARY HARASIMOWICZ
Asystent scenografa	— BARBARA KOTYS
Inspicjent	— KAZIMIERZ HERBA
Sufler	— WANDA JASIUKIEWICZ-ŁOZA
Światło	— HENRYK JANOWSKI
Realizacja dźwięku	— JANUSZ SZULC

Stanisław Ignacy Witkiewicz

O nowym typie sztuki teatralnej

(...)

W więc: wchodzą trzy osoby czerwono ubrane i kłaniają się nie wiadomo komu. Jedna z nich deklamuje jakiś poemat (powinien on robić wrażenie czegoś koniecznego w tej właśnie chwili). Wchodzi łagodny staruszek z kotem na sznurku. Dotąd wszysko było na tle czarnej zasłony. Zasłona się rozsuwa i widać włoski pejzaż. Słychać muzykę organów. Staruszek mówi coś z postaciami, coś, co musi dawać odpowiedni do wszystkiego poprzedniego nastrój. Ze stolika spada szklanka. Wszyscy rzucają się na kolana i płaczą. Staruszek zmienia się z łagodnego człowieka w rozjuszonego „Pochronia" i morduje małą dziewczynkę, która tylko co wpełza z lewej strony. Na to wbiega piękny młodzieniec i dziękuje staruszkowi za to morderstwo, przy czym postacie czerwone śpiewają i tańczą. Po czym młodzieniec płacze nad trupem dziewczynki i mówi rzeczy niezmiernie wesołe, na co staruszek znów zmienia się w łagodnego i dobrego i śmieje się w kącie, wypowiadając zdania wzniosłe i przejrzyste. Ubrania mogą być zupełnie dowolne: stylowe lub fantastyczne — podczas niektórych części może być muzyka. A więc po prostu szpital wariatów? Raczej mózg wariata na scenie? Możliwe, że nawet tak, ale twierdzimy, że tą metodą można, pisząc sztukę na serio i wystawiając ją odpowiednio, stworzyć rzeczy niebywałej dotąd piękności; może to być dramat, tragedia, farsa lub groteska, wszystko w tym samym stylu, nie przypominającym niczego co dotąd było.

Wychodząc z teatru, człowiek powinien mieć wrażenie, że obudził się z jakiegoś dziwnego snu, w którym najpospolitsze nawet rzeczy miały dziwny, niezgłębiony urok, charakterystyczny dla marzeń sennych, nie dających się z niczym porównać. (...)

S. I. Witkiewicz, Nowe formy w malarstwie, PWN 1974, s. 264.

Stanisław Ignacy Witkiewicz

Peyotl

Teraz czeka mnie zadanie specjalnie trudne: nie być fałszywie zrozumianym, co przy wyjątkowym stanowisku, które muszę zająć w stosunku do peyotlu, jest bardzo możliwe. Mogę być posądzonym o to, że odsądziwszy od czci i wiary trzy wyżej opisane (nikotyna, alkohol, kokaina) jady, chcę udowodnić, że jedynie godnym używania jest właśnie ten czwarty i że uratowałem się od trzech nałogów przy pomocy oddania się innemu. Ludzie są bardzo sceptyczni na ten temat i poniekąd mają rację. Kiedy przy pomocy peyotlu przestałem zupełnie pić na czas dłuższy (około półtora roku), a w ogóle nie wróciłem już — przed definitywnym wyrzeczeniem się alkoholu i innych trucizn, których przeważnie dla eksperymentów rysunkowych sporadycznie używałem (eukodal, harmina, czyli syntetyczna banisteryna Mercka, lub tak zwane ya-yoo, eter i meskalina, syntetycznie otrzymany jeden z pięciu składników peyotlu) do dawek alkoholu, których używałem przedtem, otóż w tym okresie spotykałem się często z następującymi powiedzeniami, w których zawierała się wątpliwość w zaprzestanie picia i innych procederów, o których nałogowość byłem najniesłuszniej posądzany: a więc mówiono mi: „oto wyrzekłeś się picia, aby wpaść w nałogowy peyotlizm", albo: „ho, ho, więc to tak: z deszczu pod rynnę" itp., itp. Otóż przede wszystkim nie ma prawie na świecie całym nałogowych peyotlistów. (...)

Oczywiście, od czasu, kiedy posłyszałem o peyotlu i wizjach, które wywołuje, marzeniem moim było spóbowanie cudownego drogu. Niestety uważany był w Europie za rzadkość tak wielką, że nigdy nie miałem nadziei dostąpienia tej łaski. Opowiadanie o wizjach uważałem oczywiście za przesądzone, jak każdy, który nie mając pojęcia o peyotlu, słucha nawet tego, który osobiście przeżył nieporównaną chwilę oglądania na własne oczy innego, niewspółmiernego z naszą rzeczywistością świata, z niedowierzaniem, a nawet z posądzaniem na dnie już nie o przesadę, ale po prostu o blagę. Dodać należy, że o „umoralniającym" działaniu „świętej" (w każdym razie dla Indian) rośliny nie wiedziałem nic i nic, poza broszurką „Czciciele św. kaktusa", o niej nie czytałem. Wszystko, co nastąpiło, było piekielną wprost niespodzianką. (...)

(...) peyotl odznacza się wyraźnymi czterema stadiami w całym przebiegu transu, które u wszystkich prawie są jednakowe, a następnie daje pewne specyficzne bogactwo widzenia w związku z artystyczną, dekoracyjną stroną rzeczy, która ma przeważnie cechy podobieństwa z wielkimi stylami sztuki epok minionych. (...) Hipoteza moja konstatuje raczej specyficzność peyotlowego widzenia, a nie tłomaczy jego istoty, która wątpię, aby kiedykolwiek zbadaną być mogła. Fizjologia i toksykologia będą tu absolutnie bezsilne, aż po krańce naszego istnienia, a psychologia będzie mogła podać tylko teorię zjawisk, ale nigdy nie wytłomaczy ich pochodzenia i istoty.

(...) o ile alkohol i kokainę zaliczyć można do jadów r e a l i s t y c z n y c h — potęgują świat nie dając nastroju niesamowitości — o tyle peyotl nazwałbym narkotykiem metafizycznym, dającym poczucie dziwności Istnienia, którego w normalnym stanie doznajemy niezmiernie rzadko — w chwilach samotności w górach, późno w nocy, w okresach wielkiego umysłowego przemęczenia, czasem na widok rzeczy bardzo pięknych lub przy słuchaniu muzyki, o ile nie jest to po prostu normalnym wrażeniem metafizyczno-artystycznym, pochodzącym od pojmowania bezpośrednio samej Czystej Formy dzieła sztuki. Ale wtedy ma to innych charakter: nie jest przerażeniem nad dziwnością bytu, tylko raczej łagodnym usprawiedliwieniem metaficznej jej konieczności. (...) Są w wizjach peyotlowych trzy gatunki przedmiotów: martwe, martwe o ż y w i o n e i stworzenia żywe. Te dzielą się na realne i fantastyczne — realne mogą być: 1. znane, proste i 2. skombinowane ze znanych elementów, w połączeniach nie odpowiadających żadnej rzeczywistości. Fantastyczne „urągają po prostu, jak się to pisze (ale nigdy się niestety nie mówi), wszelkim wysiłkom ich adekwatnego opisu: pojmuje się je jedynie w chwili widzenia, a i to nie bardzo. Z chwilą gdy znikną z peyotlowskiej rzeczywistości, żadna siła

nie potrafi ich zrekonstruować. Kto tych stworów nie widział, ten nigdy nie potrafi ich sobie odtworzyć. A do tego to piekielne wprost wykończenie wykonania. W wizjach przeważają potwory lądowe i morskie i straszne mordy ludzkie.

Nie mogę ze względu na możliwą obrazę przyzwoitości wdawać się w szczegółową analizę tych widzeń. Lubię czasem oglądać potworności, ale tu peyotl przewyższył wszelkie moje oczekiwania. Na całe życie dość mam tej jednej nocy. Zdaje mi się, że mam dość wyobraźni — jednak gdybym tysiąc lat żył i co noc zmuszał się do wyobrażenia sobie najdzikszych rzeczy, na jakie mnie stać, nie wymyśliłbym jednej milionowej tego, co widziałem tej nocy letniej (...)

(...) moja żona nie mogła już ze zmęczenia zapisywać wizji i postanowiła pójść spać, ale na kanapie w moim pokoju z obawy, żeby mi się coś nie stało, ponieważ puls bywał jeszcze chwilami niewyraźny. Przy wpatrywaniu się w jej twarz nastąpiły straszliwe deformacje, przy czym reszta pola widzenia pozostawała zupełnie nie zmieniona. Zamknięte oczy powiększały się niepomiernie, powieki pękały wreszcie ukazując oczy wielkości kurzego jaja, łypiące straszliwie jak u gadzinowych potworów, widzianych przy oczach zamkniętych. Nos zadarł się, usta rozszerzyły i z twarzy uśpionej powstała jakby okropna karnawałowa maska, żywa i robiąca przeraźliwe miny. Dzbanek stojący w drugim pokołu ożył. Wypuścił białe macki jak mątwa, ciągnące się ku mnie i wijące w powietrzu. Z dwóch czarnych pęknięć w białej emalii powstały oczy o groźnym i wciągającym wyrazie, które wpatrzyła się we mnie z jakimś niesamowitym uporem.

12.30

— Rysuję na małych kartkach zwykłego papieru ołówkiem, mimo wielkiego lenistwa. Przemagam się, aby było parę rysunków markowanych „peyotl" dla paru przyjaciół zbierających moje bardziej „dzikie" wytwory. Rysunki bardzo skromne, ale przedstawiające coś w rodzaju rzeczy widzianych w wizjach. Wykonanie też inne niż zwykle i pewna nieobliczalność tego, co ma się zamiar narysować.

1.19

— Druga seria rysunków. Ryczę ze śmiechu.

1.52 — Zdaje się, że wizje słabną. Umyłem się jak zwykle bez większych t r u d n o ś c i i kładę się do łóżka. Napad wesołości. Prześladuje mnie pieśń (nie znana zresztą): „kagda ja pierestanu kuszat' pamidory"!

2.05 — Upłynęły wieki. Całe góry, światy i tabuny wizji. Chińczycy musieli znać peyotl. Wszystkie smoki i całe Indie stąd. Wtajemniczeni = artyści.

2.45 — Jem grahama z dzikim, zwierzęcym apetytem. Wyglądam za firankę. Trzeba będzie wrócić do realnego świata, którego wielkość działa przygnębiająco. Ale w ogóle mam w tej chwili szaloną, spotęgowaną pogardę dla realistycznego malarstwa, prawie wstręt fizyczny, jak r ó w n i e ż d l a t a k z w a n e j n o w e j s z t u k i.

2.58 — Pochód ze słoniami i perłowym (to znaczy zrobionym z pereł) wielbłądem w masce czarnej. Wspaniały w proporcjach. Szalony realizm. Podglądanie i obejmowanie fantastycznych bebechów przez oczy na długich szypułkach. Ciekawym faktem jest pojawienie się w wizjach rzeźb i architektur — dzieł sztuki bezwzględnie mi obcych z powodu braku poczucia u mnie trzeciego wymiaru. Mimo że w normalnej świadomości nie potrafiłbym zrobić najmniejszego szkicu rzeźbiarskiego czy architektonicznego (próbowałem raz rzeźbić i raz zrobić projekt na pomnik — były to rzeczy humorystyczne. Lepiej udawały mi się szkice do architektury, ale również odznaczały się brakiem inwencji i absolutną niekonstrukcyjnością), w wizjach widzę wspaniale skonstruowane budowle, i to nie tylko w stylach dawnych, ale jakby jakąś architekturę przyszłości — kombinację dzisiejszego, potwornego dla mnie stylu pudełkowego z elementami dawnej sztuki.

3.05 — Powiedziałem „dość wizji" i zgasiłem lampę. Nic z tego. Nastąpiły wizje trupio-erotyczne (numer macabre).

3.10. — Hades mego pomysłu. Była to jaskinia szaro-żółta, z wylotem na również tego koloru pustynię. W jaskini było widno. Piekielna nuda tego obrazu przeraża mnie dotąd. Na prawo stłoczona grupa nieśmiałych żółtych kościotrupów, na lewo u sufitu łopotały jak nietoperze duszki skrzydlate, również żółto-szare, półzwierzęce, jak „Caprichos" Goyi. Zapisałem uwagę „panpeyotlową": Goya musiał znać peyotl".

3.30 — Męczące wizje. Walka centuarów przemienia się w walkę fantastycznych genitalii. Konieczność wyrzeczenia się narkotyków, nawet w formie eksperymentów lub dla celów rysunkowych. Pewnego rodzaju „nawrócenie się" życiowe. Bezwzględnie wyższy poziom duchowy tego stanu w stosunku do całej przeszłości. Mimo potworności wizji, które ukazują mi spotworniałe własne błędy, czuję się w wyższym wymiarze ducha i mam wrażenie, że to będzie trwałe. Olbrzymia czaszka, po której pełzają czerwone „kraby zbrodni". Żłobią coś w ranach tej czaszki. Po czym odpełzły bokiem, po krabiemu w ciemność, jakby uciekały przed czymś. Skuropatwienie jastrzębia. Cudownie mądre jastrzębio-ludzkie oczy zgłupiały, powieliły się i w ptasich głowach uleciały za okrągły horyzont.

3.45 — Faraon podobny do mnie. Pochody i totemiczne obrzędy — trochę jastrzębio-gadzie. Niosą na olbrzymiej tarczy hiper-jastrzębio-gada. Potem ulecenie tego w postaci jastrzębich duchów. Gady w płciowym splątaniu. Perwersje szalone legwanów — zupełnie realistycznie przedstawione.

3.50 — Numer realistyczny. Węże w pustynnych źródłach. Potwór gadzi pterodaktylowaty miał grzbień jak dinosaurus i żółto świecące fosforyczne oczy. Uśmiechnął się ironicznie zakrwawionym pyskiem. Otchłań płciowa z hipopotamem włochatym „na blond". W tym okropne oczy. Czaszka pokrywa się sadzą — w tej sadzy zawstydzone topazowe oczko. To jest nikotyna. Pół czaszki oddziela się. Z oczodołu wypełza wąż w tęczowych kolorach i patrzy na mnie czarnymi oczkami. To jest alkohol. Znowu pół czaszki oddziela się i pokrywa się białym puchem niezmiernie delikatnym. W puchu tkwią oczy kobiece błękitne — cudownie piękne i mądre. U dołu wyrasta mała rączka z białego zamszu z czarnymi kocimi pazurkami. Rączka ta ściąga i popuszcza białe lejce, które zachodzą mi na kark, ale bez wrażeń dotykowych. To jest kokaina.

3.58 — Najeżone pojęcia czyste w postaci kolców. Z tych pojęć zamiast prawdy (która stała obok s z t u c z n i e tyłem odwrócona, w postaci brązowego posążku kobiecego z wypiętym zadem) wyszło dziwne zwierzę, które zmieniło się w dziką świnię.

4.05 — Narodziny brylantowego szczygła. Tęczowy taks rozprysnął się w fajerwerk czarno-różowych motyli na zgiętych różowych patyczkach. Znowu pochody egipskie i asyryjskie. Niewolnica kryjąca się za kolumną. Z tego potem wyrodziła się cała historia pałacowej intrygi w obrazach, zatopiona następnie w ohydnych, zatłuszczonych bebechach.

4.10 — Zobaczyłem obrazowo wszystkie moje wady i błędy.

4.55 — Chcę zobaczyć marszałka Piłsudskiego (...) Ma szary mundur i czerwoną wstęgę przez pierś. Lewe oko wychodzi delikatnie z orbity i widzę je w znacznym powiększeniu. Z tego oka wylatuje fioletowy meteor i przeszywa mi głowę do bólu. Znajduję się na szalonej wysokości nad Polską i widzę ziemię jak mapę. Ale nie widząc morza, nie mogę zorientować tego obrazu co do południa i północy.

5.00 — Tajemnicza historia „damy z kresów" w obrazach. Żandarm, pop i staruszek w szlacheckim mundurze" (którego nigdy na oczy nie widziałem).

5.04 — Narodziny potwora. C u d o w n i e piękna blondynka z niebieskim oczami — zawsze ten sam kobaltowy kolor — zawinięta w futro. Nogi jej rozchylają się — ciało tłuścieje, lśni i pęka — rodzi strasznego gada o głowie okrągłej, z twarzą foki i kota, zmieszanych z pewnym znajomym generałem: oczy wyłupiaste tego samego koloru co jej oczy, wąsy żółte, szczeciniaste.

5.25 — Jakiś przodek mojej żony, h e r e t y k, widziany z profilu — wciągnięty w kłębowisko węży.

7.15 — Franciszek I zamienia się we Władysława Orkana. Znowu cudownie nieprzyzwoita, ale inna kobieta (nie ta blondyna poprzednia) rodzi potworka ptasiego ,który wyłaniając się z niej pije wodę z kałuży, podnosząc głowę do góry.

O piątej po południu zapaliłem bez większej przyjemności pierwszego papierosa. (...)

Jeśli chodzi o działanie moralne, to uważam, że peyotl, a może i czysta meskalina powinny być stosowane u nałogowych narkomanów w okresie odzwyczajania się od trucizn. W czasie działania oba specyfiki wywołują ostry wstręt do alkoholu i tytoniu — tak fizyczny, jak i moralny. Wstręt ten trwa dłuższy czas po przeminięciu transu i może być zużytkowany nawet przy jednorazowym użyciu jako podstawa do zaprzestania całkowitego. Trzeba odróżnić narkomana nie mogącego przestać się narkotyzować od nie mogącego tego uczynić. (...) bezwzględnie pomógł mi peyotl, gdy raptownie przestałem pić i nie wziąłem do ust nic (prócz czasami troszkę/u/piwa) przez przeciąg czternastu miesięcy i to bez najmniejszego trudu. Oczywiście trzeba na to woli. Na samym peyotlu nikt bez wysiłku daleko nie zajedzie. (...) A peyotl, poza wstrętem do narkotyków, daje jeszcze głębsze wejrzenie w siebie, co dla osób nie mających specjalnego obowiązku oszczędzania swego mózgu dla rzeczy lepszych jak wóda i koko szczególnie może być wartościowym. Ktoś mi powiedział: „No po cóż mam to właśnie zażywać? Kolory widzę i tak co chcę, mogę sobie wyobrazić, nic wiedzieć o sobie nie chcę więcej, niż wiem w stanie normalnym, nie palę, piję dwa razy na rok, i to mało, niczego innego nie używam". Oczywiście miał rację. Muszę tylko bronić wizji jako takich. Nikt nie jest w stanie tego zrozumieć, kto tego nie przeżył. Ale, że doskonale można żyć (szczególnie będąc pyknikiem) bez takich przeżyć, to jest najświętsza prawda i nikogo na tym miejscu na peyotl nie namawiam. Możliwe, że w moich wizjach za dużo było humoreski i potworności zmieszanych razem i na ten temat można je zlekceważyć. Ale pomijając cztery stadia zasadnicze, jednakowe u wszystkich, każdy może mieć takie wizje, na jakie zasłużył. Słyszałem o pewnym panu, który przez tydzień po peyotlowym transie nie wychodził z domu i nie chciał nikogo widzieć z obawy, aby mu rzeczywistość nie popsuła cudownych rzeczy, które w widzeniach swych przeżył. Widocznie ja byłem „niegodnym", a i tak nie żałuję tego. Peyotlu nr 2 i meskaliny nie zażyłbym już nigdy więcej. Ale oryginalnego meksykańskiego chciałbym użyć raz przed śmiercią, ażeby zobaczyć, jak to tam jest teraz ze mną naprawdę. Niestety stosunki meksykańskie utrudniają bardzo dostanie prawdziwego preparatu.

„Ocknijcie się palacze i pijacy i inni narkomani, póki czas! Precz z nikotyną, alkoholem i wszelkimi „białymi obłędami". Jeśli peyotl okaże się ogólną odtrutką na tamte wszystkie świństwa, to w takim i tylko w takim razie: niech żyje peyotl".

S. I. Witkiewicz, Narkotyki — Niemyte dusze, PIW 1979

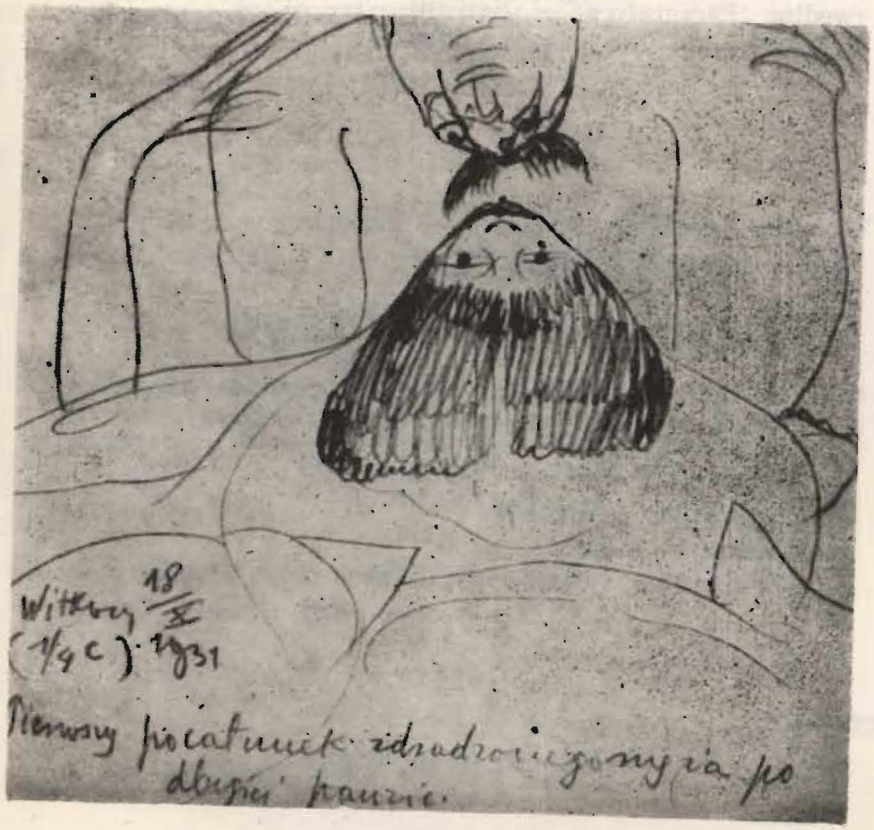

W repertuarze Teatru Polskiego

T. Różewicz — Śmierć w starych dekoracjach
Z. Krasiński — Nie-Boska Komedia
A. Fredro — Pan Jowialski
W. Shakespeare — Sen nocy letniej
F. Kafka — Ameryka

W przygotowaniu:

M. Piwowski — Yo-Yo
(według „Paragrafu 22" J. Hellera)
A. de Musset — Nie igra się z miłością

W repertuarze Teatru Kameralnego

S. Mrożek — Emigranci
K. Zanussi, E. Żebrowski — Gry kobiece
W. Gombrowicz — Opętani
E. Radzinski — Łunin
S. I. Witkiewicz — Matka

W przygotowaniu:

S. Mrożek — Garbus
T. Łubieński — Przez śnieg (prapremiera)

Kierownik techniczny: ANDRZEJ BARWIŃSKI
Brygadier sceny: TADEUSZ KACZMAREK

Kierownicy pracowni:

krawieckiej damskiej: WŁADYSŁAWA MASZTALERZ
krawieckiej męskiej: JERZY HELAK
perukarskiej: ZOFIA HEJNE-BREGULLA
szewskiej: JERZY PORZYCZEK
modelatorskiej: SŁAWOMIR KALETA
stolarskiej: ZYGMUNT BEDNARCZYK
malarskiej: TADEUSZ CHĄDZYŃSKI
tapicerskiej: WŁODZIMIERZ POMORSKI
ślusarskiej: BRONISŁAW KROWICKI
elektroakustycznej: HUBERT BREGULLA

Reprodukcje w programie — z książki „Witkacy", WL 1977 (fot. A. Hawałej).

Zamówienia zbiorowe na bilety dla zakładów pracy i szkół przyjmuje codziennie w godz. 9—16 Biuro Organizacji Widowni, ul. Zapolskiej 3, tel. 387-89.

Wydawca: Teatr Polski we Wrocławiu
Redakcja programu: Maria Dębicz

Cena: 10 zł

WZGraf. Z-d 2, zam. 1702/80, B-6, nakł. 2000